

Jerzy Sulima-Kamiński  
Redakcja Liter. i Report.

Dnia 14.IX.1980 r.  
Godz. 16.05 - 17.30

" W I E L K I F U K S "

A jednak, trudno w to wprost uwierzyć, nie byłoby tego domu gdyby nie Seweryna. Imponowało jej przyszłe sąsiedztwo. Sama lekarska elita. Osiedle zapowiadało się ekskluzywnie i towarzysko atrakcyjnie. Te niedzielne popołudniowe brydżki. Wołowe grille w ogródku... Szkicowała rozkład domu i plan ogrodu. Tu róże, tam niezapominajki. Koniecznie srebrny świerk przed domem i płacząca wierzba na trawniku. Ten płachetek leśnej ziemi miał się obrócić w ogród botaniczny pełen egzotycznych roślin i rzadkich odmian. Skalne kąciki, nenufary w wodnych basenach. Trejaże i pergole. Myślała o parze złocistych bażantów spacerujących po ogrodowych ścieżkach. Dla bezpieczeństwa tych ptaków gotowa była wytruć wszystkie okoliczne psy i koty. Idea posiadania bażantów wydała jej się oryginalna. Kto poza nią mógłby wpaść na taki pomysł?

Sam dom jakby ją mniej interesował; miała o nim niejasne wyobrażenia. Szkice domu były chaotyczne i chimeryczne;

149  
rzuty piętra nie pokrywały się z rzutami parteru. Zawodziło ją widzenie przestrzenne i poczucie zmysłu konstrukcyjnego.

Ściany nośne stawiała na działowych. Zupełnie nie umiała sobie wyobrazić biegu schodów. Zresztą każdy szkic był inny, niepodobny do poprzedniego. Nie mieścił się też dom w planie ogrodu. Jego wizja powstawała w oderwaniu od budynku. Jednego tylko trzymała

się niezmiennie: salon ma być ogromny, z kominkiem. I sypialnia, też ogromna. Ale najkonkretniej rysowała się wizja łazienki.

Wykafelkowana jak prosektorium, cała pastelowo różowa. Wanna

i fajanse też pastelowo różowe. Wszystko. Lustro od posadzki

po sufit. Nareszcie zobaczy się w całości, a nie jak dotąd

we fragmentach. Głowa, piersi, brzuch i nogi. Skończy się

zdejmowanie lusterka ze ściany, sadwienie go na krześle,

stawianie na podłodze. Nigdy nie potrafiła sklecić siebie całej

z tych poziomo przeciętych wycinków. Każdy fragment odbicia

wydawał jej się obcy, jakby należał do ciał różnych kobiet.

z tymi  
Nie identyfikowała się ~~z sobą w tych~~ <sup>z tymi</sup> ~~cząstkowych~~ <sup>z tymi</sup> lustrzanych wizerunkach. Można by powiedzieć, iż Seweryna nigdy dotąd w pełni nie zaznała weryfikującego i integrującego czaru lustra.

Z rodzicielskiego domu wyniosła "kompleks lustra". W domu

był to przedmiot z pogranicza magii i grzechu. Wychowanka sióstr

149  
Norbertanek, matka Seweryny, traktowała lustro jak bramę do piekieł. Przynajmniej w odniesieniu do córki. Lustro było tabu. Złamać go, znaczyło narazić się na gniew matki.

Luster w obszernym domu było niewiele. Najważniejsze mieściło się w sypialni rodziców, po wewnętrznej stronie drzwi garderobianej szafy. Szafy, zamykanej na klucz w kształcie liry. W tym lustrze można się było zobaczyć od stóp po kokardę na głowie. I Seweryna, ~~ciekawa siebie,~~ oglądała się, ~~urzeczoną~~ sobą. Z tych narcystycznych seansów lustrzanych do dziś pozostało w niej wspomnienie drżącego z zachwytu i ze strachu ciała. Za cenę potępienia zdobywała zakazane tajemnice, doznawała rozkoszy samopoznania. ~~Poczucie winy i radość odkrycia. Taka jestem! Oczekiwała kary z jasnego nieba. Ale gromy padały nie~~ z tak wysoka.

- Co z ciebie wyrośnie! - karciła ją matka. - Co cię tak podnieca? Te twoje chude nogi? Kościste biodra i wklęsły brzuch? Tak naprawdę to nie siebie widzisz w lustrze, a wstrętną, sprośną małpę!

To była oczywista nieprawda. Seweryna podobała się sobie. Matka też przecież przeglądała się w lustrze i też widziała tylko siebie, a nie małpę. Ojca te sprawy nie obchodziły.

Tylko wzruszał ramionami. - Przesadzasz. Przesadzasz, moja droga. Do sporów między żoną i córką nie mieszał się. Prędzej czy później, zawsze dochodziły do porozumienia. Dla siebie rezerwował prawo ingerencji w istotne momenty ich życia. Bały się go - i uwielbiały. Przynajmniej Seweryna uwielbiała ojca. Matka ukazywała jej błyskotki tego świata. Ojciec to, co istotne. ~~Po było trudne ale pociągające.~~ Ojciec był autorytetem, matka tylko ozdobą jej dzieciństwa.

Rozpoczęcie budowy odwlekało się. Ale Seweryna nie rezygnowała. Z uporem szkicowała swoje wizje, zmieniała koncepcje, udoskonalała rozkład domu i ogrodu. Stół i dywan ich kawalerki usłane były szkicami. Emanuel zbierał je, palił i kupował nowe szkicowniki. W domu nie mówiło się o niczym innym, tylko o budowie.

Dążenie Seweryny do własnego domu graniczyło z obsesją. Brak pieniędzy nie był dla niej przeszkodą. Pieniądze znajdą się, choć ~~mieli~~ mieli się zapożyczyć po uszy. Ta parcela to ich szansa, ~~coś takiego nie zdarzy się po raz drugi.~~ Nie będzie przez całe życie <sup>z domu</sup> z centrum na peryferie obrywać guzików w autobusach, ani w deszczu i na mrozie wyczekiwać na przystankach. Pięć minut do sanatorium malowniczą leśną drogą. Jej status społeczny lekarza domaga się komfortu i stabilizacji.

153

W tym zawodzie imponuje nie tylko wiedza, ale i życiowe sukcesy. To ważny składnik terapii.

I pytała Emanuela czy <sup>on</sup> sam miałby zaufanie do lekarza gnieźdzącego się w pokoiku z wnęką kuchenną i brodzikiem w przedpokoju? A fachowe podręczniki trzyma w tapczanie? I pije mleko z uszatego kubka w kwiatki i nie ma nawet daczy nad Zalewem? Czy taki lekarz w ogóle może się liczyć u pacjentów? Albo, co ważniejsze, u swoich władz? To dobre dla stażysty.

Powoli oswajał się z myślą o własnym domu. Może nie byłoby to najgorsze? Tym różnił się od Seweryny, że potrafił marzyć o rzeczach realnych. ~~Źny bez szansy na realizację nigdy długo nie powstały w jego głowie.~~ Jeśli już roić, to o czymś, co da się przekuć w fakt. Rzeczywistość wyrosła z marzeń miała dla niego posmak hazardu i wielkiej wygranej.

Trzy razy w życiu doznał tego uczucia. Po raz pierwszy kiedy wręczano mu dyplom inżynierski. Po raz drugi, gdy wygrał konkurs na projekt ogrzewczy hali sportowej. Te dwie gry obstawił świadomie. Tu sukcesy ściśle wpisane były w marzenia. Prawdopodobieństwo wygranej istniało już przed rozdaniem kart, więc zmobilizował się i - wygrał.

Ten trzeci raz - to był wielki fuks. Coś takiego nigdy mu

się nawet nie śniło - śnił przecież tylko rzeczy możliwe.

Gratka spotkała go w kiosku Ruchu zainstalowanym w sieni ich bloku, dokąd zjechał windą w koszuli i w pantoflach po krem do golenia. Przy okazji, zupełnie machinalnie, nabył dwa losy loterii samochodowej. To był ten wielki fuks!

- Będziemy się budować - postanowił. - A w tym domu będzie dziecko!

Dopiero myśl o dziecku uczyniła z przyszłego domu konieczność. Teraz już wiedział, że trzeba o ten dom walczyć. Że zrobi wszystko co możliwe, by stanął naprawdę. A I aby był tym, czym być powinien: jedynym, niepowtarzalnym i niewymiennym miejscem pod słońcem, domem jego dziecka. Gniazdkiem.

Pod błahym służbowym pretekstem wyłudził delegację do Warszawy. Jechał z losem wlepionym do dowodu osobistego, z fatalną świadomością, że i tak zgubi portfel nim pojawi się w dyrekcji loterii państwowej. Ciągle chwycił się za serce i ludzie w przedziale zerkali na niego niespokojnie. ~~Częstowano go kawą i Glucardiamidem,~~ Ale jemu nie o serce szło, tylko o portfel, co "bił na sercu". W Warszawie, im bliżej Świętokrzyskiej, tym szedł wolniej. Nie była to jeszcze pora na transakcje. Na Nowym Świecie zajrzał do baru mlecznego.

Wypił gorące kakao i zjadł pół czerstwej bułki z masłem. Wciąż było za wcześnie. Poszedł więc na Krakowskie, do Wizytek. Jakaś siostra zakonna usługiwała księdzu do ołtarza. Jej korna, klęcząca postawa, plecy zgięte jak do biczowania, wywarły na nim przykre wrażenie. Nie pasował do tego świata pokory i wyrzeczeń.

2 (Chciał żyć. Żyć wygodnie, intensywnie i pożytecznie.) Umaczał czubki palców w kropielnicy, przeżegnał się i położył rękę na sercu. Był! Był portfel. Teraz na Świętokrzyską.

Od razu natknął się na ludzi. Niektórzy z nich, zdawało mu się, mieli zamiar zagadać go, zatrzymać. Dowiedzieć z czym tutaj przychodzi, może z talonem? Szedł jak taran, prosto do tablicy informacyjnej. Zapukał do drzwi na parterze i nie czekając aż go poproszą, zajrzał do środka. Ktoś skinął na niego żeby wszedł. Emanuel pokazał dowód z wklejonym losem. Zgadzało się, nie było pomyłki. Wyszedł z talonem w garści jak z triumfalną pochodnią. Paru ludzi zastąpiło mu drogę, ale uprzedził ich człowiek w skórzanej kurtce. Pociągnął Emanuela za rękaw.

- Co pan masz?

--Syrenkę.

- Ile?

- Sześćdziesiąt pięć.

- Sześćdziesiąt.

- Sześćdziesiąt pięć.

~~- Sześćdziesiąt.~~

Człowiek w kurtce ujął Emanuela pod ramię i zaciągnął w głąb korytarza. Szli jak para przyjaciół. Tamten coś poufale szeptał Emanuelowi do ucha - co? Czysty bluff, obmyślony na zamydlenie oczu ludziom kręcącym się po korytarzu. Jednocześnie mocno wpijał palce w ramię Emanuela. Każdy obronny manewr byłby podejrzany w tym gmachu pełnym interesantów i urzędników. Zresztą co mogło mu się stać tutaj, w samym centrum miasta, w biały dzień, w państwowej instytucji?

Kluczyli ~~po korytarzach~~ długo i zawile, aż natknęli się na leżącego pod kaloryferem człowieka w niebieskim kitlu.

- Wacek - skinął na niego ten w skórzanej kurtce.

Człowiek w kitlu uniósł głowę z nad kaloryfera. Wstał, wziął do ręki klucz francuski i dołączył do nich. Szli teraz szybciej i jakby pewniej zmierzali do celu. Korytarz opustoszał. Był to zapewne kraniec najdalej położonego skrzydła gmachu. Zaciągnęli Emanuela na schody wiodące do podziemi. Emanuel spazmatycznie uczeplił się poręczą.

- Dokąd?!

Przytulić



- Nie bój pan nic.

Schody były wąskie, a tamci dwaj ustawili się za nim, tarasując całą szerokość stopni. Napierali na niego z tyłu. Gdzieś w pobliżu musiała być kotłownia, bo strop i ściany piwnicznego korytarza pokrywała plątanina rurociągów, zaworów, kabli i rozmaitego technicznego osprzętu. Człowiek w kitlu to zapalał, to gasił światła w korytarzach. Istny labirynt.

- Prawdziwa pułapka na takich durniów jak ja - złościł się Emanuel. - Dobrze mi tak. Nikt mnie tu nie odnajdzie, bo i nikt mnie tutaj szukać nie będzie. Stwierdzą, że nie dotarłem do Zjednoczenia i tyle. Śledztwo umorzą z braku śladów i poszlak. Najwyżej wyświetlą w telewizji moją fotografię; kilka sekund rozgłosu i koniec. Koniec ze wszystkim. Będzie tu gdzieś gnął belami pod ~~makank~~ makulatury albo w beczce po emulsyjnej farbie.

Dotarli do miejsca gdzie kończył się korytarz. Człowiek w kitlu wyjął klucz z kieszeni i otworzył blaszane drzwi. Zapalił światło. Weszli do małej, zatęchłej komórki, wypełnionej pakami, ~~starych akt i jakichś rozrzuconych formularzy~~. Znajdował się tam też stary powielacz, wysłużone odkurzacze i sterta paków oraz szmat. Mężczyzna w skórzanej kurtce zabrał Emanuelowi talon i podał go człowiekowi w niebieskim kitlu.

163

Ten długo szukał ~~po~~ półkach okularów, ~~az wreszcie znalazł je~~  
~~w kieszeni kitla.~~ Przetarł szkła kawałkiem szmaty, nasadził je  
sobie na nos i uważnie badał <sup>Talon</sup> ~~tabu~~ pod światło. Poskrobał  
~~dokument paznokciem i powąchał. Zdjął okulary.~~

- Gra - powiedział.

- Pięćdziesiąt pięć?

<sup>Emmanuel</sup>  
Marceli otworzył usta jak do krzyku. -

<sup>No</sup>  
- Pięćdziesiąt osiem?

Skinął przyzwalająco głową. Co miał mówić? Talon był w ich  
rękach i on sam też znajdował się na łasce i niełasce tych ludzi.

Z satysfakcją masochisty pomyślał: - Wpadłem jak baran pod nóż!

Postanowił nie bronić się. Widocznie taki koniec zgotował  
mu los. Nic na to nie poradzi, fatum rządzi ludźmi i światem.

Mimo to, bezwiednie, ustawił się plecami do ściany. Niech go  
atakują z przodu i z boków. Tyły musi mieć zabezpieczone. Stał  
nieruchomo, z dłońmi zaciśniętymi w pięści. Kątami oczu obserwo-  
wał to jednego, to drugiego. Ten w kitlu zdawał się nie intere-  
sować całą sprawą; coś tam grzebał w zatłuszczonej smarami  
skrzyni, dzwonił jakimiś metalowymi rupieciami. Wreszcie wziął  
garść pakuł i czyścił sobie nimi buty. Człowiek w skórzanej

kurtce przyklęknął pod ~~jednym~~ z regał<sup>ów</sup>, macał ręką przestrzeń

168

pomiędzy ścianą a makulaturą. Sięgnął stamtąd jakąś niewielką igielitową paczkę obciążoną gumą od weka. Zdmuchnął kurz,

wytarł paczkę o nogawkę spodni.

- Wacek, liczymy.

Wodkaniarz naślinił kciuk i wskazujący palec. Ten w kurtce rzucił na stół tysiączki. Liczyli, a Emanuel myślał:

- Panowie, po co ta komedia?

Wodkaniarz ułożył przeliczone banknoty w stosik i wręczył je temu w kurtce.

- Pasuje.

Teraz liczył ten drugi. Też pasowało. Wyciągnął rękę

z pieniędzmi do Emanuela.

- Polycz pan.

- Acha... - Emanuel miał się na baczości. - Ja wyciągnę rękę po forszę, a ten w kitlu zdzieli mnie kluczem...m

- No licz pan!

Emanuel <sup>też</sup> wyciągnął rękę przed siebie. - Nigdy nie miałem tak przeraźliwie długiej ręki - spostrzegł ze zdumieniem. Przechylił się cały do przodu, bo jednak nie starczało do zagarnięcia pieniędzy tej nadnaturalnie wydłużonej ręki. Uczynił kroczek do przodu, by uchwycić koniuszkami palców plik banknotów.

2  
~~Natychmiast dał susa w stronę drzwi.~~

- Lycz pan!

- Pasuje!

Już był za drzwiami. Biegł na oślep ciemnymi korytarzami.

Nad nim bulgotały rury kanalizacyjne, terkotały wodomierze, liczniki gazu i prądu. Wszędzie śmierdziało kocim moczem, rzecz która przedtem uszła jego uwadze. Kiedy zwolnił kroku, niepewny czy nie zbłądził, przyszło mu na myśl, że zachował się jak ostatni gbur. Jak cham. Nawet nie podziękował ~~im~~ za uprzejmość. Co oni sobie o nim pomyślą?

Z miejsca zawrócił. Jest człowiekiem starej szkoły i zna się na formach,

Zastukał do blaszanych drzwi. Ci dwaj siedzieli na pakach makulatury i popijali ze szklanek.

- Zapomniałem panom podziękować. Dziękuję, że byliście tacy mili...

- Nic, nic - śmiał się ten w niebieskim kitlu. - Ja bym się też bał.

- Chodź pan. ~~Wypijesz sobie.~~ Skórzana kurtka skinął pełną szklanką.

109

- Ja prowadzę wóz!

Zatrzasnął drzwi. Ale nie zagłuszył śmiechu wódkamięra i tego w czarnej skórze. - A niech się śmieją - pomyślał. - Teraz jesteśmy skwitowani.

Pieniądze złożył na książeczkę w Okrągłaku. Wsiadł do popołudniowego ekspresu i późnym wieczorem był już w domu. Pomachał przed Seweryną ~~otwartą~~ książeczką oszczędnościową.

- Popatrz!

~~- Co to jest?!~~

- ~~Kapitał!~~ Będiesz wreszcie miała ten swój wymarzony dom!

Skuliła się w fotelu raczej przybita niż radosna. No cóż, szok. Liczył się z reakcją, ale nie taką. Zawsze reagowała na radosne wieści podnieceniem, beładną, euforyczną paplaniną i nadmierną motoryką kończyn. Teraz siedziała osowiała, ze spojrzeniem nieruchomo wbitym w dywan. Pewnie, suma jest zbyt mała jak na koszt budowy. ~~Ne~~ ale jak na początek, wcale nie jest źle. Wielu decyduje się na rozpoczęcie robót z połową tej kwoty w kieszeni. Resztę jakoś zdobędą, to znaczy on zdobędzie. Po prostu nastawi się na robienie pieniędzy. Nastawienie się na cel jest warunkiem osiągnięcia go. ~~Jak się ma cel, to łatwo się nastawić, iśó de przodu powoli a stale. Jak walec drogowy,~~

~~jak ezoig. I nie dać się zepchnąć z obranej drogi.~~

Milczała. Jej podbródek z malowniczym dołkiem pośrodku drgał jak przed wybuchem placzu. Zrozumiał: posądza go o malwersację. O świństwo jakieś, łapówkę, ~~lewy handelek~~, Bóg wie o co jeszcze. To zrozumiałe. Jej prosta, uczciwa natura nie może pojąć, że pieniądze spadły im z nieba.

Przysiadł ~~się~~ do niej na fotel. Przygarnął jej głowę do siebie i gładził pachnące szamponem włosy Seweryny.

- Nic z tego co myślisz - mówił. - Zwykły przypadek, jeden na milion.

Seweryna skubała rąbek szlafroka. - No tak - westchnęła.

- Tylko że całe osiedle będzie śmierdzieć lizolem. Przy wiatrach zachodnich, a u nas przeważają wiatry zachodnie, lizol z sanatorium na pewno zatruwa tam całe otoczenie. Taki wstrętny zaduch przypominający szpitalną kostnicę. ~~Chciałaby raczej od tego uciec; nawet jako lekarz nie może przywyknąć do zapachu lizolu.~~

Lepiej już pozostać w bloku. Może tylko zamienić kawalerkę na M-2 lub M-3?

- O co chodzi?! Powiedz!

Nie od razu wydukała w czym rzecz. Kluczyła, meandrowała po temacie. Wreszcie pękła. Opuścili ją. Zdradzili koledzy.

173

Złękli się kłopotów i tego całego administracyjnego mazgajstwa. Zrejterowali, pozostała sama na lodzie. Jedni zrezygnowali całkowicie z rojeń o własnym domu. Pozostali nabyli działki gdzie indziej. <sup>Stenik</sup> ~~Postawili ją~~ przed faktem dokonanym. Nikt <sup>ja</sup> ~~ja~~ nie uprzedził. Wycofali się, to wycofali. Ale ona nie chce mieszkać przez całe życie wśród obcych, prymitywnych ludzi. Dowiadywała się jaki element wykupił opuszczone działki. Dno.

Jacyś wozacy, jakiś tapicer; na pewno otworzy tam warsztat. Jakiś facet z rzeźni miejskiej, emerytowany milicjant. Reszta to ludzie ze wsi i jakieś zupełnie nieokreślone indywidua.

Co wśród takich ludzi ma do czynienia inżynier i lekarz? Co to za towarzystwo dla nich? ~~Do kogo tam usta otworzyć?~~

Emanuel był zachwycony. Odpadło to, czego się najbardziej lękał. To całe towarzyskie, jałowe gruchanie. Te nudne głędy o szpitalnych intrygach. Małe zawiści, zazdrostki, przedpokojowe miłostki, kawki i pokerki! Lepiej złożyć się nie mogło! Żadnych towarzyskich zobowiązań, żadnych sąsiedzkich pogaduszek. Będzie żyć z wszystkimi na dobrej stopie, życzliwie i uczynnie - ale na dystans. Tego właśnie potrzebuje.

Wykładał Sewerynie swój punkt widzenia na sprawę. Ciężko szło. Jakby toczył się żelazną obręczą po kocich łbach drogi. Już mu się kończyły argumenty, już zwątpił w wygraną, a ona jeszcze trwała przy swoim. Więc zamilkł. Wtedy odezwała się głosem bolesciwym, kapitulaniczkim.

- I co ja będę w tym pustym domu robić?

~~Ocknął się.~~

2 - Pustym?! ~~Coś ty!~~ Dom nie będzie pusty!

- Jak to nie pusty?

- Dom nie będzie pusty. Będzie w nim dziecko!

Spojrzała przerażona.

- Przecież wiesz, ~~że nie mogę...~~

- Ty nie - zgodził się. - Ale są takie, które urodziły i nie chcą mieć dziecka. I jedno z takich dzieci będzie właśnie naszym dzieckiem...

Wyprężyła się przed Emanuelem jak do przysięgi i zacisnęła dłoń w pięści.

- Nigdy! Nigdy! Za żadne skarby!

Uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Czego to kobiety nie mówią! A potem zapominają co powiedziały.

Był dobrej myśli.